

DOPÓKI ŻYJĘ...

Jakub Nowykiw-Krzemiński

Dedykuję Siostrzeńce Romie i mojej małej Ojczyźnie



Książę Roman Sanguszko (drugi z prawej) przyjmuje wizytę księdza Adama Stefana Sapięhy. Sławuta, 1910 r. (zbiory Marii Osterwy-Czekaj).

"... miarka się przebrała. Niech się pan gotuje na najgorsze, książę." To był kolejny taki list. Od jakiegoś czasu książę Roman dostawał je bardzo często. Zwłaszcza po przewrocie lutowym w Petersburgu, czyli obecnym Piotrogradzie. Tym razem jednak groźby wyglądały poważnie.

I co? Grozić śmiercią - komu? Czy przelęknie się śmierci ten, kto z nią już od dawna zaprzyjaźniony? Kto ma dziś ponad osiemdziesiąt lat, a przy tym jest taki jak on, książę Roman. Jaka głupota. A przecież wcześniej uważał autorów tych pogroźek za rozumnych. Jak najbardziej... Oraz za największych zbrodniarzy. Zbrodniarzy niewątpliwie, ale rozumnych. Najwidoczniej z czasem zgłupieli.

On był gotów na spotkanie śmierci. I to od dawna. Jeszcze jak gotów. Już będąc w gwardii carskiej mógł, na przykład, sto razy spaść z konia, przetrącić kark. Ileż było takich sytuacji, również w czasach pokoju. Gorzej niż umrzeć to zostać sparaliżowanym, kompletnie, jak jego kolega i przyjaciel, kapitan Paweł Lipski. A nie został. Jego czas bowiem jeszcze nie nadszedł.

Czyli co, teraz nadszedł. Kapitan Lipski spadł z konia na ćwiczeniach, złamał szyję i został sparaliżowany mając 28 lat. Zmarł po niecałym roku. A on, książę Roman? 85 lat. Bogu dzięki.

1.

Książę pogłaskał białą brodę z wyraźnym zadowoleniem. Z szuflady czarnego, dębowego stołu wyjął pudełko z zapalnikami, drugą ręką podniósł list z pogroźkami. Wstał z fotela z takiegoż samego czarnego dębu, meble jeszcze po wujku, też Romanie i też księciu. Podszedł do wygasłego kominka - ogrzewanie zbędne, przecież to koniec maja. Potarł długą szwedzką zapalniczką o pudełko i przytknął do szarej kartki papieru z drukiem maszyny do pisania marki Remington. Płonący papier poleciał

na dno kominka z karpackiego kamienia, osmalając go smużką dymu. W parę chwil po pogróżkach pozostała garstka szarego popiołu. - I po sprawie! - powiedział, śmiejąc się głośno.

Spojrzał na ścianę przed sobą. Wisiał na niej wyjątkowo piękny portret cara Aleksandra II. Prezent od tego, kto na portrecie. I od tego który też otrzymywał pogroźki. Dalsze wydarzenia pokazały, że nie na darmo. Tyle zamachów. I śmierć... Można powiedzieć że męczeńska. Jakby nie był katem Powstania Styczniowego... Usłyszał pukanie do drzwi.

- Wejź, Ewuniu.

Do gabinetu weszła niewysoka dziewczyna, w skromnej, czarnej sukience. Śliczna twarz, wielkie szare oczy. Na plecy spływał jasny warkocz z wplecioną brązową kokardką.

- Może posprzątać w gabinecie, ojczy?

Ewa była przybraną córką księcia, co nie przeszkadzało obojgu w wielkiej wzajemnej sympatii i przywiązaniu. Byli sobie bliżsi, niż niejeden rodzic z dzieckiem połączeni więzami krwi. Owszem, spierali się często, nawet ostro, mimo posłuszeństwa, i pokory przybranej córki, ubogiej ale przecież szlachcianki.

Księżę powszechnie uważany był za despotę, również domowego. To bardzo oburzało Ewę. Rzeczywiście, charakter księcia daleki był od cukrowego, ale jego wybryki były raczej wybrykami dziwaka, a nie despoty. Dlatego też Ewa nie nabierała się na pozory i nie bez racji uważała, że surowy wygląd jej ojca, intonacja głosu jak na placu wojskowym - to nic więcej niż kaprysy szlachcica ekscentryka. A uściślając: starego szlachcica dziwaka.

Miał też reputację skąpca. Tak, przy wielkim bogactwie żadnego grosza nie marnował i nie przepuszczał. Tylko nieroby marnują, a on nim nie był nigdy. W młodości również nie był żadnym lwem świeckim bądź salonowym. Od zarządzających majątkiem wymagał rozliczenia z każdego wydanego grosza, i uzasadnienia na co został wydany. Jednocześnie każdy w tych okolicach wiedział, że nie ma prośby czy potrzeby, jakiej odmówiłby księżę Roman, gdy dotyczyła spraw poważnych. Wysyłanie na studia do Warszawy, Krakowa, Petersburga czy Moskwy zdolnego lecz biednego chłopaka, finansowanie leczenia ubogich mieszkańców, opłacenie pogrzebu, i inne życiowe wsparcie nie należały do rzadkości - księżę pożyczał i nie nalegał, jeśli dłużnik nie był w stanie oddać w umówionym terminie. A bywało i tak: wrzucał weksle dłużne do kominka ze słowami: - Chce pan (pani) oddać, a ja nie chcę wziąć. Taki to był stary dziwak.

Zdarzało mu się wpadać w gniew, lecz krzyczał rzadko, choć, co prawda miał język-brzytwę. I to było dużo gorsze niż krzyk. Gniew szybko się kończył, księżę składał przeprosiny, niezależnie od tego kto był obiektem gniewu i ofiarą zabójczego języka, chłop obrządzający konie w stajni czy jego ukochana Ewunia. Ta ostatnia wycierała łzy i niezmiennie przebaczała. Wiedziała przecież, że któregoś ranka będzie na nią czekał pod poduszką cudny pierścienek z lwowskiej czy krakowskiej jubilerki czy jeszcze jakakolwiek inna niespodzianka, wywołująca dziewczęcą radość. Czyli: mea maxima culpa.

Teraz na twarzy ojca Ewunia nie widziała nawet śladu gniewu czy niezadowolenia. Głębokie spojrzenie jego oczu promieniowało w tym momencie nie tylko miłością. Też czymś jeszcze, czego dziewczyna nie potrafiła nazwać. - Dobry pomysł. Poproś Helę, niech dokładnie posprząta.

Helą była zwykłą pokojówką. Ale to "poproś" było typowym. Towarzyszył tym słowom taki uśmiech, jakim tylko księżę Roman mógł obdarzyć. Uśmiech mędrca. Tak to nazywała Ewunia. Na własny użytek.

- Może jednak mi pan pozwoli, ojczy?

Księżę skinął siwą brodą. Za brodą chował się uśmiech, który promieniował z ciemno-zielonych oczu.

- No, jeżeli sobie życzysz. A ja pójdę na spacer. Zabiorę z sobą Patroklesa, cały czas szczeka, nie może się doprosić.

Podszedł do córki, ucałował jasne włoski i wyszedł przez wysokie drzwi z czerwonego drzewa.

2.

Pies myśliwski, trzylatek Patrokles biegł u prawej nogi, wesoło kręcił księżycopodobnym ogonem. Białe, w jasno-brązowe plamki, giętki i szybki jak strzała, Patrokles wachał wiosenne powietrze czarnym lśniącym nosem na końcu długiej wąskiej mordki, strzygąc uszami. On rozumiał, że czas jednak nie na polowanie, i nie trzeba gonić zająca, klucząc za nim po polu, albo między drzewami. Czy szukać w lesie nory odwiecznego wroga tego pierwszego, lisa. Wszystko jedno, jego wąskie ciało na nieprawdopodobnie długich łapach mknęło do przodu, raptem zatrzymywało się, jak za naciśnięciem hamulca i zrównywało z prawą nogą gospodarza. Na obroży błyszczał metalowy medalik z inicjałami księcia.

Szli starą aleją lip, pamiętających jego wujka Romana Stanisława. Był on powstańcem Listopadowym, pieszo wyruszył na Sybir, zakuty w ciężkie żelazne kajdany z łaski batiuszki cara Mikołaja I. Czternaście lat piekielnych prac w tajgach, kopalniach i zesłania na Kaukazie tylko dodały wujkowi Romanowi uporowi i odporności. Powrócił do rodzinnego miasteczka, i zaczął od zera. Ocalałe kontakty z Petersburga, pozwoliły zachować to co pozostało z magnackiego mienia. Pracował dniami i nocami, lżej przecież niż w kopalni i za więziennym murem. Fabryka sukna, trzy fabryki papieru, stajnie z rasowymi końmi angielskimi, zakład leczenia kumyssem, odbudowany rodzinny pałacyk - tylko część dóbr... Ale poza tą częścią, coś jeszcze pozostawił na ziemi buntownik, więzień i budowniczy.

W zabytkowej lipowej alei "to coś" zachowało się i żyło. Słoneczny majowy dzień nie był zasługą wujka Romana Stanisława. Także lekki łagodny wiaterek znad rzeczki, którą ukraińscy mieszkańcy nazywali Kaczką, nie był przekazany w spadku, czy stworzony przez wujka, ani kogokolwiek z ich rodu. Nawiasem mówiąc, właśnie do stryja buntownika był podobny obecny właściciel majątku bardziej niż do swego ojca księcia Władysława - przede wszystkim upodobaniem do dziwactw. Bo nie z powstańców cnót.

Cień ze starych pyszniących się rozłożystymi koronami lip, szum liści, zapach rozkwitających kwiatów na pałacowych gazonach. I coś jeszcze, niewyczuwalne węchem ani odbierane wzrokiem. Wymykające się zmysłom. Wszystko to nie z księżyc spadło. To pozostawił wujek jemu, i wszystkim w tej okolicy. Książę Roman znał to dokładnie, jak Ojciec Nasz i własne imię.

Wszędzie w obcych stronach tęsknił książę za tymi lipami, dębami, za słynącymi z "sosen sanguszowskich" Podolem i Wołyniem.

To była jego duma, ten znak, jaki on, potomek wielkiej polsko-litewskiej szlachty, miał pozostawić po sobie na tej pięknej ziemi. Konie arabskie też były jego dumą. No, ale jaki tam jest ten wiek koński i czy będzie atrakcyjne dla potomków to hodowanie koni. A te lipy, sosny, to powietrze, - ot, to już nigdy nie ma zniknąć. Powietrze do niego nie należy, ziemia to przedmiot sporów, a co wartych, pokazała ta wojenka o Ostróg, jaką rozstrzygnął ruski zaborca.

A to co zrobiono na tej ziemi, - ot, to pozostanie. Niech nawet nie zawsze materialnie. Pamięć rzecz najsilniejsza. Tak, nie każdy pamięta. Lecz tego i nie trzeba. Kustosze pamięci byli, są i będą. A póki oni są, nic nie przechodzi na marne. Ani dzieła rąk, ani owoce myśli, ani bicie serc, jakie niby zamilkły. To się tylko tak wydaje.

Pamięć. Ona czuwa, budzi, przechowuje. Również broni. Tak myślał stary książę, idąc aleją także starych lip. Już sama ta myśl była czymś z dodatkowego dziedzictwa stryja imiennika. I czyżby tylko jego...

W oddali książę zauważył na drodze chłopską furę, jaką szybko niosła para koni, szary i czarny. Fura pozostawiała za sobą wznoszące się słupy żółtego piaszczystego pyłu.

3.

Szary koń... Ależ wspomnienie.

W młodości był on oficerem carskiej konnej gwardii, "kawalergardów", za Aleksandra II. W wigilię świąt Wielkanocy według prawosławnego kalendarza, do ich pułku przyjechał car. Nie był gościem

wyjatkowym, lubił odwiedzać pułk, a zwłaszcza stajnie ze starannie wyselekcjonowanymi, rasowymi końmi. Ot, i trafił na szarego konia z jakąś czarną plamą na grzbiecie. Niewielką, ale jednak plamą.

Car podszedł do konia, zdjął białą rękawicę i potarł plamę palcem. Spojrzał na palec, na którym pozostał czarny ślad. Nie wiadomo skąd był ten ślad i ta plama, ale jego majestat raczył się rozgniewać, i to bardzo. Rozkazał ustawić wszystkich oficerów w szereg, stanął przed nimi i gniewnie krzyknął:

- Który jest dziś oficerem dyżurnym?!

Dyżurnym oficerem dzisiaj był młodzieniec, podporucznik Lamin. Stał w szeregu blady jak śmierć, drżał, prawie gotów był się rozplakać. Ale nagle z rzędu, zrobiwszy przepisowe dwa kroki do przodu, wyszedł inny oficer. Stanąwszy na baczność, odsalutował i dziarsko zameldował:

- Wasz imperatorski majestat! Rotmistrz Sanguszko!

Rotmistrz Sanguszko wiedziony ludzkimi uczuciami, ochraniał jak mógł biednego chłopaka, który do pułku trafił niecały miesiąc temu. Nie radził sobie niedorajda na służbie, widać było, że to nie jego powołanie, toteż szybko został "chłopcem do bicia" dowódców szwadronu, oraz pułku. Roman Sanguszko jako jedyny okazywał litość i współczucie niedołądze. No i proszę, jak w sam raz na jego dyżurze... Raz przegapił plamę na końskim grzbiecie, przez brak doświadczenia i niedołąstwo, no i koniec kariery, jaka nawet jeszcze się nie zaczęła.

Car wyglądał jak gradowa chmura. Szara husarska węgierka ze złotymi sznurami na piersi i szytym wenzelem na rękawach była tłem dla czerwonej z gniewu twarzy. Poruszał pysznymi wąsami i bakenbardami jak złośliwy kot.

- Cóż za hańba, rotmistrzu!..

Ale najwidoczniej coś cara "tknęło", gdyż chwilę pomilczał i już mniej groźnie odezwał się:

- A teraz! Niech wyjdzie na środek prawdziwy dyżurny oficer.

Lamin jak automat opuścił szereg. Odsalutował drżącą ręką i słabym głosem zaczął meldować:

- Wasz imperatorski majestat...

Ale car podniósł rzymskim gestem rękę, na palcu której był czarny ślad z końskiego grzbietu.

- Dosyć, podporuczniku...

Uważnie spojrzał Laminowi oczy, w jakich stały łzy. I niespodziewane miękko powiedział:

- Jeszcze za młody jesteś pan, podporuczniku. Ucz się, bracie, u tego oficera - i skinął głową na rotmistrza Sanguszkę. Założył białą rękawicę na lewą rękę i powtórzył:

- Ucz się, podporuczniku. Taki powinien być kolega. Taki oficer. Taki szlachcic. Nic się nie bać! Nikogo! I nigdy. Zapamiętaj sobie, młodzieńcze.

A do dowódcy pułku:

- Podporucznika nie karać, bo zniechęci się do służby. Dostał wystarczającą nauczkę.

Uśmiechnął się do rotmistrza Sanguszki i szybkim krokiem odszedł w towarzystwie pułkowego dowódcy i całej generalicji.

Z tamtej chwili car zwrócił uwagę na śmiałego rotmistrza, dobrego kolegę i dzielnego kawalerzystę. I nie szczędził oznak swej łaski. Gdy Roman Sanguszko zachorował na gruźlicę i podał się do dymisji, sprezentował mu swój portret. Ten sam, jaki od tamtej pory wisiał na honorowym miejscu w jego, księcia Romana, gabinecie.

Gdy pewnego dnia telegraf przyniósł wiadomość o tym że car Aleksander II padł ofiarą rewolucjonistów, a jego rozerwane ciało przygotowują do pogrzebu w grobowcu Pietropawłowskiej fortecy, Roman Sanguszko, były oficer carskiej jazdy, poszedł do kościoła. Kościół św. Doroty był częścią majątku, zbudowany był na cześć księżniczki Doroty Sanguszkówny, zmarłej w 1821 roku, gdy miała 22. Mały, ale bardzo piękny kościółek, dokładna kopia pewnego paryskiego.

Szczególnie pobożnym ksiązę Roman nie był, ale tradycję katolicką w rodzinie szanowano i pielęgnowano, i to niezmiennie. Pomimo że jeden z krewniaków, ksiązę Eustachy Erazm, bohater i generał kościuszkowskiego powstania, który walczył z Hiszpanami i moskalami w wojsku Bonapartego, był masonem, należał do loży Wielkiego Wschodu Francji.

Ksiązę zamówił u księdza proboszcza Mszę Św. w intencji męczennika Aleksandra. Był oczywiście obecny na tej Mszy. Stał blisko ołtarza, a w czasie Komunii bardzo cichym szeptem powiedział:

- Takich intencji tu nie będzie. Dopóki żyję... I westchnął:
- Niech ci Bóg przebaczy to co z mym krajem zrobiłeś, nieszczęsny Aleksandrze, może kanalie przy dworze wymusiły, boż dobry byłeś. Dodając w myślach: - Przynajmniej dla mnie.

Książę Roman był zawsze daleko od wszelkiej polityki, po prostu gardził nią. Lecz dom we wszystkich jego pojęciach był świętym i niepodważalnym skarbem. A tu o dom chodziło. Jak i teraz.

4.

Kiedy Rosja przegrała wojnę z Japonią, i stało się jasne, że niepokoje i zamieszki są nie za górami, książę Roman zrezygnował z wszystkich wyjazdów za granicę. Mimo, iż nie był na państwowych posadach, cieszył się wielkim autorytetem, zarówno wśród możnych i szlachty, jak i wśród mieszczan i chłopstwa.

Także we wspólnotach chłopskich i robotniczych, bo przecież sam był jednym z najbogatszych ziemian, oraz fabrykantów. Dyrektorom fabryk surowo zakazał niesprawiedliwych grzywien, kontrolował wszystkich, pilnował aby udzielane były urlopy, nie mówiąc już o przyzwoitych pensjach. Starcom robotnikom zapewniał regularne i pozwalające godnie żyć emerytury. Nie miał natomiast sentymentów dla nierobów, pijaków, chuliganów i łobuzów. Kazał ich zwalniać bez litości.

W fabryce włókienniczej, i trzech produkujących papier, słowo "sprawiedliwość" nie było pustym dźwiękiem. Także strajków nie było. Przybywających agitatorów i mącicieli wyłapywali szybko zarządcy majątku, jak i sami robotnicy, i przyprowadzali do księcia Romana, który skutecznym ostrzeżeniem zapewniał spokój fabrykom w Sławucie.

Przestrzegał agitatorów przed konsekwencjami ich brudnej pracy słowami:

- Zabierajcie się stąd z waszymi kłamstwami i podburzaniem ludzi przeciwko sobie. Wiem, na czyje zlecenie jątrzycie, mącicie, i kto wam za to płaci. Przekażcie swoim mocodawcom, żeby zapomnieli drogę do nas. W przeciwnym razie, zapamiętajcie dobrze moje słowa: pierwszy i ostatni raz odchodzicie stąd żywi.

Pewien ziemianin, znany w tych stronach z krzywdzenia, oszukiwania i niesprawiedliwego traktowania chłopów, był przez nich szczególnie znienawidzony. Książę Roman, spotkawszy go, powiedział:

- Chociaż jestem dużo starszy od pana, za Chmielnickiego i Koliwuszczynę nie żyłem. Karmeluka nie pamiętam, bo byłem zbyt mały. Ale nic straconego, mam wielką szansę wszystko to zobaczyć. Dzięki panu, i takim jak pan. Oni zaczną od pana, proszę mi wierzyć. A władze zainterweniują, gdy z pana majątku zostaną popioły. Bo co z pana, tego nawet wyobrazić sobie nie chcę.

Ziemianin się oburzył:

- Pan jest gotów dopuścić do takiej masakry, książę?! Na szlachcicu?! Na Polaku?!

Książę Roman spokojnie odpowiedział:

- Szlachcic polski nie krzywdzi słabego i bezbronnego. Bezbronny ma prawo pomścić swoją krzywdę, skoro dostał broń. Jak mógłbym przeszkadzać sprawiedliwości?

Do ziemianina, mimo żalosnej zawartości czaszki dotarło, że patriarcha wołyńskiej i podolskiej szlachty nie żartuje. Przeraził się na tyle, że ku zdziwieniu chłopów, przestał ich oszukiwać i krzywdzić. Przynajmniej do końca 1905 r, gdy się dowiedział, że rewolucję stłumiono. Nie wystarczyło zawartości czaszki, żeby zrozumieć: główny koszmar dopiero nastąpi.

Tak czy owak, agitatorzy, prowokatorzy i reszta diabłów rzekomej "rewolucji", a naprawdę próby podziału świata, w Sławucie się nie zatrzymali. Było jednak jasne, że to nie koniec.

5.

Gdy jakiegokolwiek imperium rozpada się, zawsze dochodzi do nasilenia wzajemnej wrogości narodów, które tworzyły ten sztuczny organizm. Manifestacja niechęci przyjmuje różne formy. Od ruchów narodowych, do krwawych pogromów włącznie.

Pierwsze to troska o przyszły los własnego narodu i ojczystej ziemi po klęsce imperium. Drugie to doprowadzenie do ostatecznej klęski samego imperium. Oraz jego "tytułowej nacji", która rodzi i wspiera pogromców.

Pod koniec 1907 roku książę Roman został wybrany przez szlachtę na prezesa Polskiego Stronnictwa Krajowego guberni kijowskiej, wołyńskiej i podolskiej. To była jedna z polskich partii, jakie powstały gdy doszło do powołania czterech Dum, karykaturalnej parodii parlamentu. Jedną z desperackich prób ratowania syjącego się gmachu domu Romanowów.

Książę Roman był współtwórcą tej partii. Jej regulamin i postulaty różniły się zarówno od linii programowej socjalistów Józefa Piłsudskiego, jak i endeków Romana Dmowskiego. Nie socjalizm czy nacjonalizm, w tym terytorialny, jak Koła Kresowego. Nie konformizm z imperialnym zaborcą, jak Stronnictwa realnej polityki - realna polityka zawsze oznacza tchórzliwe, brudne kompromisy i akceptację uległości wobec siły.

Polskie Stronnictwo Krajowe miało nadzieję na samorządy, gospodarkę oraz oświatę, wychowanie w duchu polskości. Pierwsze i drugie okazało się utopią w warunkach zniewolenia przez imperium, w dodatku znajdujące się w stanie rozpadu.

Ale trzecie...

6.

Nie był książę Roman powstańcem, jak stryj Roman Stanisław. Ale tak jak stryj, był pod stałą, baczna, obserwacją policji. I chodziło nie tylko o to, że według policyjnych raportów z okresu Powstania Styczniowego 1863 roku, 60 mieszkańców Sławuty wstąpiło w szeregi powstańców, z inspiracji nie kogo innego, a właśnie księcia Romana Sanguszko.

Były jeszcze raporty, późniejsze. Jak ten, przykładowo, raport tajemniczego agenta złożony naczelnikowi zarządu żandarmerii obwodu wołyńskiego 3 marca 1911 roku:

"Hrabia Potocki i książę Sanguszko prowadzą akcję propagandową, mającą na celu spełnienie głównego marzenia wszystkich Polaków - odrodzenia Polski. Jednym z poważnych czynników sprzyjających realizacji tego marzenia jest według nich edukacja i wychowanie polskiej młodzieży w narodowym duchu, przesiąkniętym dążeniami separatystycznymi i nienawiścią do Rosji. W tym celu, w majątkach, gdzie dominuje polski element, już dwa lata temu zorganizowano szkoły polskie. Tu zapraszają nauczycieli z Królestwa Polskiego. Teraz jest tutaj także Przystań dla dzieci wspólnoty rzymskokatolickiej".

Tajniak nie kłamał. Także w tym, że na koszty księcia Romana było pobudowano takie przytułki dla polskich dzieci nie tylko w sanguszkowskich majątkach, po pierwsze w Sławucie, Białogrodce, Zasławiu, - jeszcze w majątku hrabiów Potockich, w Szepetówce, Antoninach, w innych miejscach Podola i Wołynia. Te przytułki uratowały od głodowej śmierci setki polskich - i nie tylko polskich - dzieci w czasie I Wojny Światowej.

Nie. Nie bez przyczyny naczelnik zarządu żandarmerii obwodu wołyńskiego w swym raporcie do naczelnika ochronnego oddziału w Kijowie potraktował w 1910 roku "...majątki hrabiego Potockiego i księcia Sanguszki jak ogniska polskiego odrodzenia".

7.

Pomimo to książę Roman został w tym samym czasie honorowym sędzią pokoju. Honoru nie brakowało, czego nie można było powiedzieć o pokoju.

Imperium zalała fala żydowskich pogromów. Kolejna próba "kanalii przy dworze", żeby zatrzymać nieubłagane przesypywanie piasku w klepsydrze czasu, gdy zostało już tylko kilka ziaren... Ostatnich dzielących imperium od upadku.

Księża powiadomili że pogromcy mają przybyć także do Sławuty, miasto tymczasem było pełne Żydów już od wielu wieków.

Wiadomość straszne rozgniewała sławuckiego księcia. On wpadał w furię, jak się wydawało, kompletnie bez przyczyn i powodów ku temu. Krzyczał - do wszystkich w majątku, też do Ewuni, która z tego powodu była w ponurym nastroju i często płakała. Księżę zaś, swym zwyczajem, składał przeprosiny, lecz pozostawał skrajnie zirytowany i zdenerwowany.

Po raz kolejny przepraszając Ewunię, nie krył powodów złości:

- No, pomyśl, córo, - cóż to się wyprawia?! Co za osły, co za stado bezmózgowe! Lać wodę na młyn tych, którzy czekają na te pogromy, jak na mannę tamtą na pustkowiu egipskim!! Tych kto ich pragnie - a czegoż konkretnie pragnie? Bestialskiej rozprawy z własnymi rodakami! Imperium oni tak ratują, a jakże! Pogrzebią! Grób kopią, głęboko kopią, oby na zawsze pochować! I jak najszybciej!

Księżę ogłosił szlachcie i wszystkim w okolicy że użyje cały swój wpływ, społeczną wagę i status, ale do pogromów w Sławucie nie dopuści nigdy i w żaden sposób. Uzbroił służbę i chłopów, wyjaśnił, komu potrzebne są pogromy, kto na nich zyskuje i jaką straszną biedę i szkodę mają przynieść tej ziemi. Miał sprzymierzeńców wśród naczelników w guberniach oraz w Kijowie. Pastuchów czarnej sotni było ostrzeżono że w Sławucie będą ich sotnię witać kulami, maczugami i siekierami, także żydowskiej samoobrony, jaką księżę pomógł uzbroić i uzgodnił z wspólnotą żydowską działania na wypadek przyjazdu pogromców.

Rodzimej czarnej sotni w miasteczku nie było ani śladu, między innymi przez starania pana ordynata Sanguszki. Pogromy ominęły Sławutę. Na razie. Ale właśnie wtedy księżę zaczął dostawać listy z pogrózkami.

Listy w zagranicznych kopertach i z takimi samymi pocztówkami przynosił miejski listonosz. Treść była wydrukowana na maszynie piszącej, prawdopodobnie marki Remington. Księżę Roman czytał je bez szczególnego zainteresowania i palił w kominku, żeby broń Boże nie przeczytała Ewunia. Nikt nie wiedział o tych listach.

Oprócz pewnej osoby, jaka przyjeżdżała do księcia Romana nie wiadomo skąd. Był to człowiek średniego wieku o siwej, jak u starca, głowie, w skromnym szarym garniturze, także szarym kapeluszu z czarnym kirem, zawsze miał małą walizkę w ręku. Ogolona twarz, średni wzrost, nic szczególnego rzucającego się w oczy. Osoba przyjeżdżała rano i odjeżdżała wieczorem szarabanem księcia zaprzężonym w parę rasowych czarnych koni.

Ostatnim razem osoba przyjechała w końcu kwietnia. Długa, jak zawsze, rozmowa trwała w księcia gabinecie. Między innymi księżę powiedział:

- Oni się nie uspokoją. Pan twierdzi, że przyszły przewrót finansują Niemcy? Lecz Parvus? Z niego Niemiec, jak z nas obu Cyganie.

Gość westchnął ze smutkiem, i odpowiedział:

- Tak, księżę, Niemcy tylko dekoracja. Wiele tych dekoracji, wiele... Reżyserzy są nam, panu i mi znani. Aktorzy też. Parvus to nie reżyser, to jedna z marionetek. Chociaż narodowość jedna.

Księżę odparł:

- Wśród Albińców jest wielu gojów. Głównie oprawców.

Osoba skinęła potwierdzająco głową,

- No, widzi pan. Oprawcy. Te same lalki. Co najwyżej aktorzy. Czy tylko marne dekoracje.

Księżę w zadumie popukał palcami po stole z czarnego dębu wujka imiennika.

- Cóż... W każdym wypadku krwawy spektakl.

Pomilczał i dodał:

- Na razie.

8.

Zaprawdę, domu Romanowów nic już nie mogło uratować. Kiedy wówczas pytano księcia co sądzi o Stołypinie, on uśmiechał się z pogardą:

- To idiota. Skończy źle.

Zdziwieni i oburzeni zwolennicy stołypinowskich reform gorąco dowodzili, że księżę Roman nie ma racji i nie rozumie treści wielkich reform, jakich potrzeba na zamianę Rosji w kwitnący ogród i oazę dobrobytu. Wtedy księżę uśmiechał się smutno, i mówił:

- Na cmentarzu wszystko kwitnie, panowie, drzewa, kwiaty. Jak nigdzie. Wiecie państwo, dlaczego. Nie przestaje, przecież, być cmentarzem. Ten człowiek jest ślepy czy fanatyczny. To i tamto się skończy ponuro. Nie tylko dla niego. Nie rozumie że czas nadszedł. A wtedy czy nagaj, czy piernik - wszystko na nic.

Gdy Stołypin został zastrzelony w kijowskim operowym teatrze, księcia to zupełnie nie zdziwiło. Na krzyki o narodowości mordercy Bogrowa odpowiadał:

- Dajcie państwo spokój, proszę bardzo. Lalka z prochem w brzuchu. Nic i zero ten Bogrow. Dobra reżyseria, ot, co fatalnie.

Dziwaczne opinie, jak najbardziej. A jednak miał prawo tak wypowiadać.

Jeżeli w twym własnym domu bieda i ambaras przez nieróbstwo i zaniedbanie, - milcz o globalnym.

"25 tys. ha ziemi pszenno-buraczanej z 61 folwarkami, 38 tys. ha lasów («sanguszkowskie sosny»), 3 750 ha łąk i lasów liściastych oraz 3 tys. ha jezior i nieużytków. Wzorowa gospodarka leśna i stadnina koni w Chrestówce. Nie wprowadzając żadnych zasadniczych zmian, zlikwidował jedynie dział koni angielskich i stajnię wyścigową, natomiast zwiększył zakup oryginalnych arabsów z Egiptu. Drobnym właścicielom stajni dostarczał reproduktorów i klaczy. W r. 1901 stadnina ta liczyła 2 435 koni, w tym 1 154 stanowiły konie pociągowe «fornalskie». Na wystawie w Petersburgu w r. 1898 r. złoty medal za klacze arabskie, a w r. 1913 w Kijowie odniósł także duży sukces. Hodował 2–3 tys. rasowych owiec oraz kilkaset sztuk bydła rogatego. Rozwijał w swoich dobrach przemysł: miał fabrykę sukna i koców w Sławucie (założoną w r. 1840), 2 wielkie młyny parowe, 30 młynów wodnych, 3 gorzelnie, browar, 3 fabryki papieru, 2 tartaki parowe, garbarnię, kotłarnię, wapienniki, cegielnię, mleczarnie typu holenderskiego; w Sławucie zakład leczenia kumysiem (otwarty w r. 1873). Obrót kredytowo-oszczędnościowy ułatwiały dwa prywatne banki Sanguszków. Od r. 1862 członek Tow. Gospodarczego we Lwowie i w Krakowie. Uzyskał zatwierdzenia ordynacji zasławskiej. Dekret Mikołaja II w tej sprawie został wydany 12 IV 1907. W skład ordynacji wchodziły dobra rodzinne położone w zaborze rosyjskim: 3 miasta (Sławuta, Białogródka i Kornica) oraz 95 wsi tworzących 3 klucze (sławucki, białogródcki i zasławski)".

Statystyka. Nic pochlebnego. Taki, ot, ambaras. Oraz znamiona żebractwa. Także nieróbstwa i zaniedbania. Żadne imperium, lecz jednak gospodarstwo. System gospodarczy, w ramach trzech miasteczek i niemal setki wioch. Ale wzorowy, jak widać. Miał, więc, pełne prawo wyrażać sąd o Stołypinie i jego reformach. Także o ich wynikach i o mordercy samego reformatora. A na to prawo miał już z innych racji.

Po galicyjskim dzieciństwie Roman Sanguszko tchnął paryskim powietrzem. A to powietrze ma w sobie wiele czego, na przykład studia w uniwersytetach, znanych w całym świecie. Bakalaureatem z nauk wyzwolonych młody książę się nie ograniczył, więc, dodał jeszcze kurs fizyki w legendarnej Sorbonie. Kojarzyć nie kojarzące się, to było pewna wizytówka księcia Romana.

Polityką gardził i brzydził się od młodości. Ale nie mniej gardził tym, kto nie wiedział, na jakim jest świecie, na tym czy już na tamtym. Znać się na ludziach i zjawiskach, to towarzyszyło księciu Romanowi, odkąd pamiętał. Jego werbalne portrety profesorów przerażały kolegów, a czasami i samych spokuszonych wykładowców zabytkowej uczelni. To pozostało na całe życie.

Pasją były również sztuki piękne. Gdzie jeszcze to polubić, jak nie w Paryżu. Młody Sanguszko buszował w Luwrze i na Montmartrze, słynącym z dziwaków ekscentryków. Atmosfera kawalerek montmartrowskich nie bardzo była atrakcyjną, ale owoce twórczości ich mieszkańców budziły już pewne przeżycia i wrażenia. Ojczyzna impresjonizmu, a jakże. Studia paryskie, skojarzenie fizyki ze sztuką malarską, rzeźbiarską, architekturą i wszelką inną, później, już w Sławucie, zaowocowało dość pysznie i obficie.

Na przykład, zbiór biblioteczny, jaki składał się z 25 000 tomów. Takiej biblioteki nie miał het nawet niejeden profesor uniwersytecki. To był nie tylko zbiór książek, często białych kruków, po prostu bezcennych. Nie tylko archiwum historyczne, gdzie sąsiadami rękopisów rodzinnych i religijnych były oryginalne dokumenty, jakie zmieniły oblicze świata - jak na przykład dekrety Konwentu Wielkiej Francuskiej Rewolucji, czasów Dyrektoriatu i Bonapartego.

"W 1881 roku zatrudnił księżę jako konserwatora archiwum Bronisława Gorczaka. Staraniem i nakładem księcia opublikował Gorczak „Katalog rękopisów w archiwum ks. Sanguszków w Sławucie” (Sławuta 1902) oraz „Katalog pergaminów znajdujących się w archiwum ks. Sanguszków w Sławucie” (Sławuta 1912). Ponadto Gorczak, Zygmunt Radziwiński i P. Skobielski wydali cenny zbiór źródeł pt. „Archiwum książąt Lubartowiczów Sanguszków w Sławucie” (Lw. 1887–1910 I–VII), Gorczak, Radziwiński i Zygmunt Kozicki rozprawę pt. „Sprawa początku rodu ks. Sanguszków” (Lw. 1901) oraz Gorczak i Radziwiński „Monografię ks. Sanguszków oraz innych potomków Lubarta Teodora Olgerdowicza ks. Ratneńskiego” (Lw. 1887–1910 I–VII)".

Świadectwa współczesnych mawiały same za siebie. Nie tylko uporządkowanie, coś o wiele więcej. To przecież było nie tylko osobiste archiwum oraz biblioteka Sanguszków. To był także zbiór miejski. I nie tylko miejski. Każdy naukowiec historyk, krajoznawca, nawet student czy po prostu osoba, którą zaciekawi przeszłość jej ziemi, ziem dalekich, ale związanych z Ojczyzną łańcuchem dziejów - miał zezwolenie księcia i dostęp do bezcennej i wielkiej skarbnicy Słowa. Ognisko oświaty, wiedzy, światła myśli ludzkiej.

Sama Sławuta w taki sposób stała się nie tylko małym powiatowym miasteczkiem, słynącym z wielkich rolniczych bazarów i jarmarków, gdzie można było kupić najlepsze owce, krowy, kozy czy kury.

Niedaleko bazaru było inne miejsce, miejsce skarbów Słowa, jakie znali nie tylko w Ukrainie i Wielkiej Polsce. Znali także w Europie. Bo miał to na celu właściciel i kustosz. Kustosz pamięci. Jak i kościół św. Doroty był nie tylko częścią majątku Sanguszków. Był również kościołem miejskim. Tam mógł wejść każdy. Dniem i nocą, całodobowo. Poprosić o spowiedzi dla siebie czy dla chorego bliskiego, lub konającego. Porozmawiać z kapłanem. Po prostu się pomodlić.

9.

Pograżony w myślach księżę nie zauważył, jak wyszedł na wprost tego kościoła.

Długa aleja starych lip wywiodła na łąkę, gdzie w młodej trawce wystawiały swoje główki polne fiołki. Z lewej strony łąka zmieniała się w mały placyk żółtego piasku. Pośród placyku pokrywały ziemię szare płyty karpackiego kamienia.

Kontynuacją płyt był wielki sarkofag wykonany z okrągłego kamienia, do połowy widoczny na tle schodów, które wznosiły się ku szczytowi sarkofagu. Na samym szczycie stał wysoki krzyż. Drugi, mniejszy krzyż błyszczał metalicznie i jak lustro odbijał promienie słoneczne nad samym trójkątnym dachem kościoła. Z dwóch stron, z lewej i prawej, rosły obok klasycznego gmachu dwie stare lipy, jak gościnni gospodarze, witający gości w bramach.

A po środku całej kompozycji był sarkofag. Ten służył z roku Pańskiego 1825 za grobowiec księżęcej rodzinie Sanguszków, od księżniczki Doroty Sanguszkówny zaczynając .

Napis: "Święta Doroto, módl się za nami" wykonany z żelaznych złożonych liter umieszczono na frontonie kościoła. Surowe linie klasycznego stylu nie przydawały jednak samemu kościołowi zbyt dużej surowości. Odwrotnie, niby ciężkie mury tak naprawdę wskazywały na niebo i kierowały spojrzenie ku lekkim, białym obłoczkom, jakie czyniły słoneczne światło delikatnym i łaskawym.

Kościółek był częścią sanguszkowskiego majątku tylko po drugie. A po pierwsze był on częścią pięknego krajobrazu, stanowił łącznik między ziemią i niebem. Ziemia przez ten niewielki gmaszek stała się kontynuacją błękitu i światła z góry. Tak się zrosła z podolską ziemią dokładna, choć pomniejszona kopia paryskiej świątyni, że niemalże włączała tę ziemię do wspólnego nieba. Wspólnego dla całej planety. A raczej dla Wszechświata.

Patrokles "odkleił się" od prawej nogi przyjaciela gospodarza, i z radosnym szczekaniem przemierzał długimi susami kościelną łączkę, dzieląc z całym światem i przyrodą odwieczną radość z bycia na ziemi w zjednoczeniu z niebem. Pobiegł za kościół, żeby obiec go dookoła i wrócić.

Jednak wciąż nie wybiegał zza kościoła. Księżę spojrzął na kieszonkowy srebrny chronometr Paweł Bure. Minęło już pięć minut. Zaniepokojony, postanowił iść szukać pupila.

Zza kościoła dobiegała cicha muzyka. To była bandura.

10.

Księżę ruszył za kościół zaskakująco szybkim jak na leciwego starca krokiem. Zaszedł za róg i zobaczył coś, na widok czego zastygł z wrażenia.

Patrokles był nieco dziki, liczył się tylko z nim, księciem. Na innych głośno szczekał, przy każdej próbie zbliżenia. Szczekał, co prawda, niezbyt groźnie i nie rzucał się obcym do gardeł, przecież był myśliwym, nie stróżem, a obcy człowiek to nie zając. Lecz zdecydowanie zniechęcał do podejścia.

A tym razem myśliwy arystokrata skakał wokół siedzącego na młodej zielonej trawce kogoś, grającego na bandurze chyba jakąś kozacką dumkę. Skakał, ale nie szczekał.

Grający na bandurze siedział na trawie plecami do księcia Romana, twarzy nie było więc widać. Głowa schylona na piersi. Plecy w starej szarej ukraińskiej "switce" z grubego płótna, chude i zapadnięte. Obok muzyka w chłopskiej "switce" leżał słomiany kapelusz, rondem na dół.

Czemuż zbiera jałmużnę za kościołem, a nie przy wejściu, tu niemal nikt nie przychodzi, pomyślał Roman. I więcej już nie chciał myśleć o niczym.

Bo nagle stał się łupem muzyki.

11.

Słodkie okowy, z których nawet nie próbował się wyrwać...

Jak i jego wierny Patrokles, który milcząc skakał dookoła źródła muzyki, jakby zapomniał o wszystkim, również o przyjacielu gospodarzu.

Bandura w rękach tego kogoś w switce odzywała się bardzo cicho. Ale dźwięki płynące z jej strun w majowym powietrzu, miały jednocześnie taką czarowną siłę, jakiej mogła pozazdrościć każda wojskowa orkiestra. Wszystko utonęło w tym dźwięku, delikatnym i tkliwym, a czasem groźnym i przenikającym wprost do serca, aż mrowienie ogarniało całe ciało.

Liście starych lip przy wejściu do kościoła szumiały teraz ciszej w majowym wiatarku, a same drzewa niby schyliły się we wspomnieniach, wsłuchane w rozmowę bandury w rękach muzyka w biednej starej "switce". Było co wspominać.

Zasadzone zostały w tym samym roku, gdy w nowym grobowcu pod kościołem schowała się przed cielesnymi i duchowymi mękami młoda księżniczka Dorota. A za kilka lat na Podolu wybuchło powstanie chłopskie, kara za grzechy szlachty. I stał cieniem nad tą ziemią straszny mściciel Ustym Karmeluk, jakiego nie trafiała kula, ani szkodził mu cios szabłą bądź żołnierskim bagnetem, także lancą. Nie mogły zatrzymać okropnego Ustyma, nie mającego litości do szlachty, nawet wysokie, grube mury fortecy Kamienieckiej, przechodził przez nich, jakby go diabeł niósł. Był bowiem czarownikiem, a na Podolu takich i dotychczas nie brakuje.

Muzyk trochę unióśł głowę, słomiane włosy na skroni długimi końcami okryły chudą szyję. Dumka płynęła w powietrzu, wspominając bohaterów i zdrajców, rycerzy i tchórzy, kozaków i szlachciców, odwagę i poddawanie się sile, chwałę i hańbę. Konie rżały w tych nutach, gwizdały szable i kule, tryumfował zwycięzca i płakał pokonany. A również dziewczęta odprowadzały cichymi nocami na bóg swych ukochanych, płakały patrząc na drogę, gdzie znikł już ślad po kopytach kozackiej sotni, powstańczej kawalerii lub ułańskiego szwadronu.

Nuty malowały jeszcze inne obrazy. Nie z tej ziemi. I coś w ogóle nie z ziemi.

Wybrzmiała ostatnia nuta. Muzyk podniósł się z trawy trzymając w ręku bandurę z drżącymi po grze strunami, stał twarzą do Romana na tle kościelnego muru.

To był nastolatek. Pociągła blada twarz z wielkimi błękitnymi oczami w obramowaniu długich cienkich słomianych włosów. Lat czternaście - piętnaście, nie więcej. Chłopczyzna niby wiejski, przynajmniej tak ubrany. Ale palce, cienkie, nerwowe, czujne, nie nawykłe do fizycznej pracy. Spojrzał na Romana i obdarzył czystym i prawie dziecięcym uśmiechem. Oczy promieniowały czymś takim, że Roman odwzajemnił uśmiech, sam nie rozumiejąc dlaczego.

Wymacał w kieszeni czarnej austriackiej myśliwskiej kurtki też czarny skórzany portfel wiedeńskiej ręcznej roboty, prezent małżonki pani Karoliny. Roman wyjął z portfela papierek, sto rubli, podszedł do muzyka i włożył banknot do kapelusza, leżącego dnem ku dołowi na trawie.

Chłopczyk muzyk podziękował Romanowi spojrzeniem promiennie błękitnych oczu, znów usiadł na trawie, dotknął strun bandury szczupłymi białymi palcami, jakie nie znały sierpa ani kosy. I zagrał.

12.

W ciągu swojego długiego życia Roman słyszał bandurę tysiące razy. Nigdy nie był jej miłośnikiem, wolał skrzypce, rojal, pianino, klawesyn. Kwartety, orkiestry symfoniczne, zwłaszcza barokowe. Taką też samą operę. Ale teraz on osłupiał.

Patrokles siedział na tylnych łapach, wyglądał jak rzeźba. Nie tylko nie czekał, nawet już nie skakał, co było czymś niecodziennym.

Magia.

A cóż jeszcze... Bandura brzmiała tak jak nigdy wcześniej. Już nie grała. Teraz przemawiała. I mówiła do niego osobiście. Do Romana.

Zobacz, Romanie. Jakżeś szczęśliwy. Wszystko się ci udało. Wszystko, o czym marzy cały świat. Królowie, żebracy, mężczyźni, kobiety. Można jesteś, ale bogactwa nie zmarnowałeś.

Nie martw się, Romanie. Ciesz się. Plany Boga często się zbiegają z szatańskimi. Tak sam szatan sugeruje, wmawia. Wtedy narzekają na Boga, skarżą się. Przeklinają Go. A nawet mówią że Go w ogóle nie ma.

Nie wierz szatanowi, Romanie. Bóg i szatan nigdy nie działają razem.

Niczego się nie boisz. Jesteś w dobrym duchu, szlachcicu dzielny. Jakże to dobrze, Romanie. Przyjdą po ciebie diabły. Lecz nie one cię zaborą. Ktoś jeszcze cię spotka. Boś zasłużył.

Nie lubiłeś się wiele modlić. To cóż. Ty się modliłeś w inny sposób. To co stworzyłeś na tej ziemi, to jest twa modlitwa. Dodałeś dobrobytu i piękna, dla siebie i dla ludzi. Ratowałeś dzieci wobec śmierci głodowej. Szczerze ofiarowałeś wsparcie seminarium i świątyniom. Różnym świątyniom, Romanie. Grzeszny jesteś, ale dobra w tobie więcej. Grzechy twoje będą zapomniane na ziemi, a w niebie odpuszczone.

Nie byłeś powstańcem. Tylko gospodarzem. Dobrym ordynatem. To jest twoje powstanie. To jest twoja chwała. Pójdzie za tobą wszędzie. Po tobie pozostanie na tej ziemi.

Wiele po tobie pozostanie. Oj, wiele. Czcić cię będą, odtąd i do końca wieków. Wieczna chwała, Romanie. W głowach i sercach.

Rzeczy, namacalne rzeczy po tobie tu pozostaną. Nie uda się diabłom twoje mienie zniszczyć. Zniszczą część, tak pomyślą. Ale nawet ta część, zniszczona niby, pozostanie. Coś na ziemi, a coś w niebie, Romanie.

Nie masz potomków, tak myślisz. I wszyscy podobnie jak ty myślą żeś ostatni z tutejszych książąt. Tak się tylko wydaje. Masz oraz będziesz miał. Przyjdą tu, niemal za sto lat. Tajemna linia twego domu, Romanie. Jak Bóg, tajemna. Ale jawna jest. Ciesz się. Jesteś wybrańcem losu.

Pieśń jest o tym twym losie. Stadniny, fabryki, nawet przytułki, biblioteka, nie tylko w tym pozostaniesz.

Nie tylko przez to że piwo z twej browarni i twego imienia będą smakowali i wspominali ciebie za sto lat.

Jeszcze jest coś. Coś bogatszego od twego całego mienia. Nawet od wszystkich skarbów świata. A co to jest, wkrótce się dowiesz. Idź w pokoju. Bo jesteś i byłeś pokojem twego miasta.

13.

Bandura zamilkła. Roman jeszcze kilka minut stał jak zaczarowany. On słyszał głos, nie grę, nie muzykę, nie bandurę. Głosy z powietrza słyszą wariaci lub święci. Roman nie był ani jednym ani drugim. Mimo lat, miał on jasny i otwarty umysł. Trzeźwo i racjonalnie postrzegał rzeczywistość. Nawet zbyt racjonalnie.

Niespodziewanie dla siebie samego Roman znowu wyjął portfel. Wyłożył do kapelusza całą jego zawartość.

Chłopczyna podniósł głowę i spojrzał Romanowi prosto w twarz. Łagodny uśmiech na chudej twarzy, promieniujące światło ogromnych błękitnych oczu. I Roman przypomniał sobie: "Kto nakarmi głodnego, Mnie nakarmi".

No, właśnie. Chciał podać jałmużnę grajkowi tułaczowi pod kościołem. Szczodrze podać A podał Temu, Czyją świątynią ten sam kościółek.

Temu, Kto po raz kolejny przyjął ludzką postać. Temu, przy Kim magnat Roman był po prostu żebrakiem. Jest Ten bowiem najbogatszy i najpotężniejszy w przyrodzie. Nawet Sam tę przyrodę stworzył. Także nieśmiertelny. Dlatego zawsze ubrany biednie, wiecznie się tuła, czeka na jałmużnę. Ten to Dziwak.

A nigdy przecież nie myślał Roman, że jego osoba jest tak ważna. Szlachecki rodowód, choćby sięgający korzeniami w przeszłość tak odległą, że niemal nieuchwytną, - a to pikuś wobec Wieczności. Kim on jest, żeby...

...i od razu usłyszał melodyjny głos:
- ...godnym, Romanie.

14.

Romana Damiana Eustachego księcia Sanguszkę-Kowelskiego, ordynata zasławskiego, zamordowano pierwszego listopada 1917 roku. W Dniu Wszystkich Świętych. Miał 85 lat.

15.

Na tej ziemi moskal zawsze był traktowany jak diabeł. Jak absolutne zło. Od pewnego czasu Romanowi udawało się załatwiać sprawy, powiązane z tym diabłem.

Na wszystko jest swój czas. Diabeł miał wiele pysków, masek, płaszczyków. Teraz maską i płaszczykiem został "zrewoltowany naród".

A tak naprawdę, zwykle łobuzy, bandyci, lumpy. Czyli diabły. Tym razem nazywali się "264 zapasowy pułk piechoty". Jeszcze przed wtargnięciem do Sławuty zabili oficerów, czuli się bezkarni, rozzuchwaleni, bez żadnych barier moralnych. Nie było hamulców, które zakazywałyby grabić, gwałcić, zabijać. Realizacja marzeń bolszewików. A najbardziej tych, którzy bolszewików hodowali dla kolejnego podziału świata.

Wiele było tego dzielenia w ciągu pięciu tysięcy lat ich historii. Tej wiadomej...

Szare bydło, uciekinierzy z frontu, wyruszyli pod pałac sanguszkowski niby z zemsty planowanej wobec kogoś tam z majątku, za "obrazę". Obrazić bydło bardzo łatwo, nawet pokazując porządne oblicze bez znamion zdegenerowania. Lub słownictwem bogatszym niż trzy przekleństwa.

Nie o to jednak chodziło.

Wśród bydła pojawiło się niespodziewanie i nie wiadomo skąd kilku facetów, ubranych po wojskowemu, którzy jakiś miesiąc wcześniej niepostrzeżenie zostali liderami dzięki masie, a masa o tym nie wiedziała oczywiście. Fachowcy, skorzystali z sytuacji i skierowali furię pianego bydła na pałac księcia Sanguszki.

Po to tutaj i byli. Czyli zostali oddelegowani. Przez Kapitułę Albińską, to taka loża. Czarna loża, czyli niby poza samą masonerią. Jedna z mnóstwa takich. Nie zapomnieli Romanowi tego, że tyle lat przeszkadzał rewolucyjnej działalności. Wszędzie cacy, krew, zamieszki, pogromy, bunty, robotnicy strajkują, chłopci palą majątki, raj i już - a w Sławucie nic takiego. Czcigodną Kapitułę doprowadzało to do szewskiej pasji. Teraz się zrewanżują.

Wszystko przewidzieli, oprócz jednego. Roman na nich czekał. Był gotowy, i to od dawna. Był więc, spokojny, a nawet się uśmiechał. Na przykład wtedy, gdy się bydło wdarło do jego gabinetu, kazało zdjąć ze ściany i podeptać portret cara Aleksandra, przez niego, cara, sprezentowany.

- To niemożliwe.

Roman powiedział to z pogardliwym uśmiechem. Od razu dostał cios brudną pięścią w twarz i po łysieńkiej głowie. Wywleczono go z gabinetu i z pałacu. Gnali po ulicy kolbami, kopniakami, ciosami w plecy i szyję. Krzyczeli, wyli, przeklinali, ryczeli. Diabelskie przecież bydło.

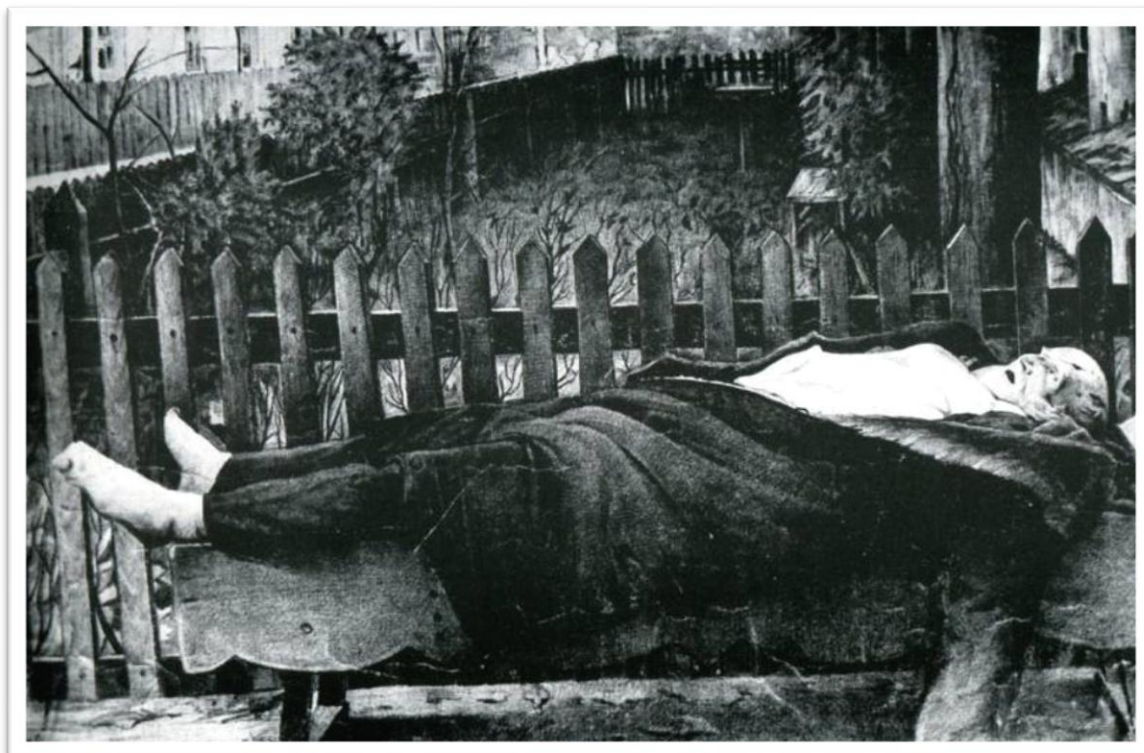
Dotarli do mostku przez rzeczkę Kaczkę. Sławuta to małe miasteczko. Nawet do Golgoty daleko iść nie trzeba.

Za plecy zaszedł jeden z przebierańców, albiński zawodowy oprawca. Ręka w kieszeni trzyma rękojęć sztyletu. Roman poczuł ostre ukłucie pod lewą łopatką.

- I po sprawie - powiedział.

Ciosów kolbami i bagnetami on już nie poczuł, żadnego.

Był już daleko.



Kiedy szare bydło wróciło do pałacu, żeby dokończyć dzieła zniszczenia i rozkradania, wydarzyło się co następuje.

Dziwnym trafem w tłumie pokazał się jakiś chłopiec w "switce" i słomianym wiejskim kapeluszu jakie nosili ukraińscy chłopcy. Miał w ręku bandurę. Kiedy jedno z bydła zauważyło go w tłumie, w czerwonych, przepitych oczach rozbłysła wściekłość i nienawiść razem z zaskoczeniem.

Bo w ogromnych błękitnych oczach pod słomianym kapeluszem płonął okropny, niszczący, wcale nie chłopski gniew. Na ogół nie ziemski.

Wściekłość i nienawiść zmieniły się w bydlęcy lęk.

Złękane bydło dźgnęło długim żołdackim bagnietem w pierś chłopca. Ale tamten nagle rozpląnął się w powietrzu, a bagnet trafił w brzuch przebierańca, który stał z gotowym do zadania ciosu sztyletem za chudymi plecami bandurzysty. Przebieraniec upadł na ziemię z krwawiącą raną.

- Co ty, kurwo, robisz?!

Wyjął z piekelnego szalu, drugie bydło uderzyło pierwsze kolbą po łbie. Za pierwszym wstawiły się inne bydła. Wybuchła bójka. Raczej bójnia. Wszyscy przeciw wszystkim. Początek niszczenia bydła przez bydła. Początek końca wszystkich imperiów bydła. Co prawda, razem z garstką ludzi, wśród ogromu bydła.

Reszta tych bydła próbowała sprzedać ukradzione z pałacu sławuckiego przedmioty mieszczanom i chłopom z sąsiednich wiosek. Mieli jednak zupełnego pecha. Żaden nie chciał judaszówki. Nawet za darmo. Żaden nie kupił skradzionych rzeczy księcia Romana.

Oprócz miejscowych Żydów. Tym razem wiedzieli, co czynią.

EPILOG

Wygnaniec to nie tylko zesłany ze stron rodzinnych. Także ten, kto się urodził daleko od nich. Przez wygnanie rodziców. A nawet prarodziców. Jak on.

Plany Boga zbiegły się z planami diabelskiego generalnego sztabu, w jednym z zarządów którego on wtedy służył. Trafił, więc, do swych stron. Niby na urlopie. A tak naprawdę, służbowo. 35 lat po przyjściu na świat na obczyźnie.

Wrócić do domu, o jakim tylko słyszał w dzieciństwie, ale nigdy dotychczas nie widział. Po niemal czterech latach na Bliskim Wschodzie. To ciekawa sytuacja. Powiedzieć poruszająca - nic nie powiedzieć.

Od pierwszej chwili na tej ziemi, od samego dworca sławuckiego zrozumiał: od teraz zaczyna się prawdziwe życie. Wiele do nadrobienia.

Jechał z dworca sfatygowanym Moskviczem. Przez okno widział chatki, białe, zdobione malowanymi kwiatami, o błękitnych okiennicach. Kozy na zielonych ulicach, zapach kwiatów wpadał przez otwarte okienko starego samochodu.

On zobaczył ten kościół, ale później. Tam był już od dawna nie majątek, a park miejski. I aleja bardzo starych lip. Ocalała. Jak i dwie lipy przy wejściu do kościoła. I łąka, po której kiedyś skakał Patrokles, rasowy pies myśliwski.

W drugim dniu pobytu został zaproszony na piwo. Pub znajdował się na terenie miasteczka wojskowego, zbudowanego w Sławucie przez sowietów w latach 30-tych XX w.

Wizytówką miasteczka był Dom Oficerów, również wtedy postawiony. Czerwono-biały gmach, fronton z czworokątnymi kolumnami. Przypominał grobowiec, zwłaszcza z tyłu. A stare toporne drzwi i okna dodatkowo potęgowały to wrażenie. Na jednej z ram okiennych, na zewnątrz, od strony ulicy, można było zobaczyć przybity gwoździami wielki, stary termometr, który - jak mówili miejscowi - przybił osobiście Budionny, cygański łobuz i bandyta, marszałek armii łobuzów i bandytów.

Pub stał przed Domem Oficerów, jeszcze niedawno sowieckiej, a teraz Ukraińskiej Armii, brzydki kłoc z pofarbowanej stali i szkła. Klienci siedzieli przy stolikach, niektórzy zaś pili stojąc. Małą kolejkę tworzyło paru miejscowych chłopaków, i dwóch ukraińskich mundurowych, kamuflaż, malinowe szewrony z czerwoną kaliną i kłosami na rękawach, czapki o Tryzubach, obydwaj w stopniu chorążych - praporszczyków. Przed pubem ich stare, poszarpane rowery, zwane BMP, "bojowa maszyna praporszczyka"

- Jakie będziesz pić? Spróbuj to, najlepsze nasze piwo, naprawdę super! Nie będziesz żałował. Na barwnej etykietce półlitrowej butelki piwa, polecanego przez miejscowego piwosza widniał herb.

Napis nie zostawiał wątpliwości. Nawet najmniejszych. Patrzył na butelkę, i dosłownie zaniemówił...

- Hej, co z tobą? Aa...herb ci się spodobał? No, ciekawy.

On milczał. W końcu zebrał się w sobie.

- ...ciekawy, no...

Obok nich browarem delectował się jeszcze jeden "praporszczyk". Przed nim na stole stało piwo tej samej marki, z herbem. Jego herbem.

Chorąży pociągnął łyk piwa i powiedział:

- Kiedyś były tu ziemie polskiej szlachty, chłopcze. Książęta! Widzisz herb? To piwo z browarów, które wtedy oni pobudowali. Po kolejnym łyku złocistego napoju dodał :

- Ostatniego w siedemnastym roku zamordowali, tam, na Utce, mostek jest. Zobacz przy okazji, ciekawa historia.

On był w stanie powiedzieć tylko:

- Dziękuję, oczywiście zobaczę.

Bo chciał tam pójść bez zachęcania przez kogokolwiek. Planował to od dzieciństwa. Jednak był szczerze wdzięczny mundurowemu, łysemu wujkowi, który nie tylko preferował to akurat piwo, ale w dodatku wiedział czyj to był browar. Herbu Pogoń Litewska.

Kolejka stopniała, miejscowy chłopak, jaki go zaprosił na piwko, powiedział do młodej barmanki w białym fartuchu, obdarzającej klientów uśmiechem zza jaskrawo czerwonej taniej szminki:

- "Książę Sanguszko"! Cztery proszę!

Ze mną to pięć, chciał dodać on. Ale milczał. Czas bowiem jeszcze nie nadszedł.

Jakub Nowykiw-Krzemiński, 10-17.05.2015

PS.

Książę, tyś teraz z Panem Bogiem
Już nie "przed", lecz "za" owym Progiem
Anioł z bandurą poprowadził
Byś siwą brodą nie zawadził
O skrzydła tych aniołów rzędy
Które witały ciebie tędy...

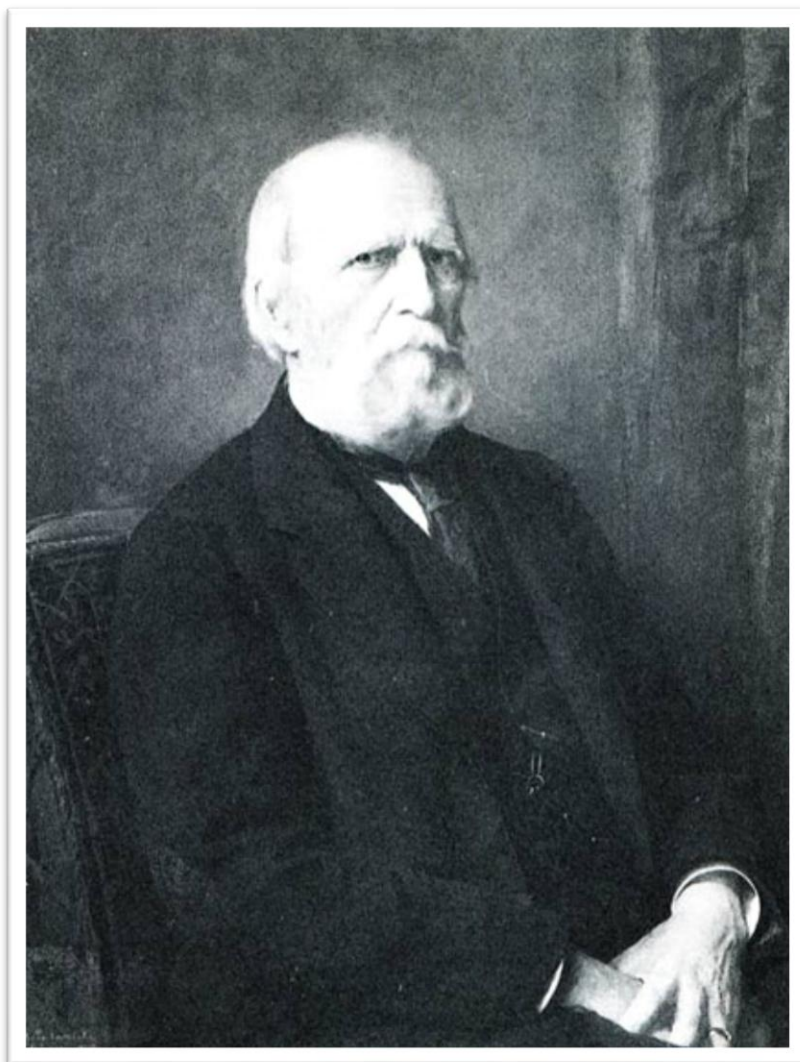
Tędy, gdzie Zło dostępu nie ma
Bo nie dla dziczy tam arena
Wiem o tym, lecz po ludzku boli
Śmierć twa męczeńska, z czyjej woli?!
Gdzie szczątki twe, gdzie twa mogiła?!
Co swołocz z nimi uczyniła?!

Krewniak twój, chłopak, po stu latach
Przeszłość z dzisiejszym dniem zaplata
W warkocz mocniejszy niż twej córy
Bo... pamięć, spojrzij na nas z góry...
Jam tylko pikuś, on - kustoszem
Wspomina pod pamięci kloszem

On cię przypomni, boś był dobrym
On nie pozwoli, bo on z chrobrych
Napisze utwór, nim poruszy
Głaz zapomnienia piórem skruszy
Zbudzi tych którzy zapomnieli
Zgniewa - tych co zapomnieć chcieli

Książę, racz, na nas spojrzeć z góry
Ja, spoglądając dzisiaj w chmury
Pałac wciąż widzę, w nim "dziwaka"
Ma wyobraźnia dzisiaj taka...
Sławuty pieczęć Brat przystawił
By, kto szlachetny, ciebie sławił.

Romana Grabowska, 19.05.2015



Źródło:
Serwis historyczny "Wołyń naszych przodków" www.nawolyniu.pl